

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

SŁYNNY ROZBÓJNIK.



Gdy między ludźmi zdarzy się ktoś z charakterem chytrym, przebiegłym, podstępnym, ktoś tak zręczny, że z każdego trudnego położenia umie się gładko wywinąć i jeszcze innych przy tem oszuka, nazywają go „lisem”. Nazwa ta każdego dotknąć musi, ktokolwiek ma choć trochę poczucia godności osobistej — znaczy tyle co chytry, zdrajca, odstępca. Nie na-

leży jednak brać za złe lisowi tego, co świadczyłoby ujemnie o wartości człowieka obdarzonego rozumem i uczuciem, obowiązującego dbać o innych ludzi tyle przynajmniej, ile o siebie samego. Lisowi, jako zwierzęciu, dała natura pewne uzdolnienie, z którego ciągnie on korzyść dla siebie samego tylko — czem różni się od niektórych zwierząt, naprzykład psa i konia,

umiejących się poświęcać, jak tego liczne widziano przykłady, nietylko dla swych psich i końskich towarzyszy, ale i dla człowieka. Lis nie winien temu, że jest, jakim go Pan Bóg stworzył, i innym jak jest, być nie może — a ludzie jeśli go ścigają i chwytają, jak i gdzie mogą, nie czynią tego, żeby go przesładować za jego chytry charakter, ale dla tego, żeby posiadać jego ciepłe i nieraz piękne futro. Lis się broni, jak może, a gdy czuje, że jego siła i szybkość nie mogą go ocalić, szuka pomocy w podstępnie.

Nietylko początkującego, ale wytrawnego nawet myśliwca, często w błąd wprowadza; a tak bywa niewyczerpany w pomysłach, że aż stał się powodem wielu anegdot myśliwskich i opowiadań, nawet bajek. Potrafi naprzykład wybornie udać nieżywego, i dopiero gdy złudzony tem człowiek pozbędzie się gotowości do strzału, lis zmartwychwstaje i umyka. W miarę okoliczności nabiera doświadczenia i coraz staje się mądrzejszym. Wprawdzie z każdym żywym stworzeniem a nie człowiekiem tylko dzieje się to samo; ale zdaje się że lis najlepiej z doświadczenia korzysta, popierany wrodzonym sprytem. Uznają to ludzie nawet, i ztąd wyrażenie: „szczwany lis” — to jest taki, na którego czyniono nieraz zamach. Wyrażenie to, i drugie: „chytry jak lis” — stosowane bywa do człowieka, nie bardzo korzystnie świadcząc o nim.

Bo też charakter lisa wydaje się ludziom bardzo brzydki: jeżeli znajdzie kryjówkę jakiego innego zwierzęcia, naprzykład borsuka i miarkuje, że byłaby dla niego dogodną, to go bez ceremonii wypędza i sam się w niej sadowi. Mogłoby się здаwać, że lis nie przez złość to czyni, ale pro prostu z potrzeby, i dla tego zabiera cudze schronienie, że sam sobie urządzić go nie umie. A przecież umie on doskonale wykopać sobie jamę głęboką i wygodną i zawsze tak robi, gdy niema cudzej do zabrania w bliskości — ale woli przyjść do gotowego, niż mozo- lić się dopiero nad urządzaniem własnego legowiska.

Obyczaje lisa są wybornym obrazem jego charakteru: dzień cały przepędza w ukryciu i dopiero wieczorem wyrusza na łowy. Wówczas brodzi po bagnach szukając ptaków wodnych, czatuje nad strumieniami dla pochwycenia ryby lub raka, wyjada połów z sieci rybackich, kradnie myśliwcom zwierzynę i pszczołom miód wybiera, w czem pomaga mu bardzo pysk ostro zakończony. Niektóre z tych czynności skuteczna i w dzień, jeżeli czuje się bezpieczny — wychodzi bowiem z nory od czasu do czasu, żeby się wygrzać na słońcu, bo do słońca wdycha każde stworzenie boskie: człowiek czy zwierzę, czy roślina; używając tej rozkoszy, lis nie poprzestaje na niej, ale i czyha na zdobycz. Na rycinie naszej widać go czatującego na zajęczka, który nie domyśla się bynajmniej grożącego mu niebezpieczeństwa i sunie sobie spokojnie z góry na dół.

Czy lis sypia spokojnie, nie wiemy, bo się z tem nikomu nie zwierzył; sądząc po ludzku, byłoby trudno przypuścić, aby taki łotr zasypiał snem sprawiedliwego. Musi to być sen przerywany strasliwymi widmami pomordowanych ofiar: gęsi, kury, ptaszęta drobne, króliki, zające — wszystko to pewnie z kolei staje przed nim z zakrwawioną piersią, i spędza mu sen z powiek, wołając o pomstę nad zbójcem... a jeżeli i zaśnie na chwilę, widzi pewnie we śnie mogiły, i czyta na nich napisy podobne do tego, o jakim wspomina wielki poeta niemiecki Göthe, w swoim poemacie *Reineke-lis*, który językowi naszemu przyswoił pięknym wierszem białym, czyli nierymowanym, pan Ludwik Jenike. Jest tam mowa o kurze:

„Grzebka tutaj spoczywa, z koguta Pieja zrodzona;
Dużo jaj naznosiła i grzebać umiała wybornie.

Padła, biedna, ofiarą mordercy Reineke-lisa.

Niech świat cały wie o tem i wzgardą zbrodniarza okryje!”

Ala jak zakamieniały zbrodzień nie czuje zgryzot sumienia i rad się jadem opycha, tak i lisowi grzechy jego nie odbierają apetytu — a wiadomo, że jest strawnego żołądka. Jeść potrzebuje sporo i w braku większej zwierzyny, nie gardzi szczurami, myszami, owadami, ślimakami, robakami, nawet konikami polnemi. Jest też smakoszem i znawcą owoców, zwłaszcza winogron, wie które słodsze i takie spożywa gdy się zakradnie do sadów.

Blisko z psem spokrewniony, nie posiada żadnego z cenny psów przymiotów, a oswoić się daje tylko z wielką trudnością i nigdy nie można go być pewnym. Futro jego, jako bardzo ciepłe i puszyste, bywa używane na podszycie wierzchniego okrycia w zimie, ogon zaś do bramowania czapek. Lis żyje w Europie, Azji i Afryce, a nie wszędzie jest jednakowy. Nasz lis zwyczajny, zwany po łacinie *Vulpes vulgaris*, ma futro rude, ale bywają też i odmienne gatunki lisów, różnej barwy i wielkości, z których barwa zbliżona do popielatęj, spowadowała że je nazywają niebieskimi, i białe mieszkające bliżej bieguna północnego. Mięso lisa jest nieprzyjemne w jedzeniu dla człowieka, ale futro jego każe się za nim uganiać, a jest też pewne zadowolenie myśliwskie w pochwyceniu mądrego zwierzęcia.

W Anglii odbywają się na lisy słynne polowania z chartami. Obyczaje angielskie wymagają, aby lis nie był wzięty inaczej, tylko uszczuty przez psa. Strzał do lisa, uważa się tam za czyn hańbiący: człowiekowi, któryby się tego dopuścił, żaden Anglik ręki nie poda. Dziwne zaprawdę obyczaje, i dziwnie wyrozumowana moralność! strzał bowiem, kładący często od razu zwierzę na miejscu, jest czynem więcej ludzkim niż skazanie biedaka na powolne konanie pod psim zębem. Irlandczycy zwłaszcza bardzo sobie w tych polowaniach podobają i urządzają je zwykle bardzo wystawnie. Cesarzowa austriacka Elżbieta, dzielnie jeżdżąca na koniu, udała się raz umyślnie do Irlandyi dla wzięcia udziału w polowaniach na lisy.

Z tego cośmy tu powiedzieli, czytelnicy widzą że lis jest wielkim grzesznikiem. A jednak grzesznik ten ma pewne przymioty godne naśladowania: jest wytrzymały, roztropny, ogleśny, cierpliwy, a co najważniejsze, wytrzymały na ból. Gdy wpadnie w zastawione na niego żelazo jedną nogą, odgryza ją sobie i na trzech pozostałych ucieka. To samo czyni z ogonem, woląc stracić tę swoją zdobycz raczej, niż wolność i życie: boleć go przecież musi to dobrowolne odcięcie sobie jednego członka. Każdy przyzna że jest w tem dużo męstwa, mogącego służyć za przykład tym wszystkim, którzy nie umieją wstrzymać się od płaczu gdy ich palec zabol, choć są ludźmi i powinni mieć więcej rozumu i rezygnacji niż zwierzęta.

Z. U.

PIOSNKA PRZAŚNICZKI.

Kręć się wrzeczono, kręć się od rana
Snujże się równo niteczko lnia!
Jak to przy pracy czas szybko płynie,
Przejdzie dzień cały w jednej godzinie.

Wij się, wij ciągle, niteczko biała,
Co z ciebie będzie wiedziećbym chciała,
Na co się przydasz na Bożym świecie?
Bo, że się przydasz, wiadomo przecie.
Narobią z ciebie płótna... oj, wiele...
Czy z niego będzie obrus w kościele,
Czyli też komża, którą to włoży
Czcigodny kapłan, służebnik Boży.
Wij się, niteczko! może dziecina,
Która zaledwie życie zaczyna,
Włoży koszulkę z płótna twojego
W dzień uroczysty, w dzień chrztu świętego.
Albo... któż zgadnie?... przydasz się może
Dla panny młodej w weselnj porze?
Kręć się więc żwawo, kręć się od rana
Snujże się równo, niteczko lniana
Niech tam, gdzie pójdziesz, serce nie boli,
Służ, nitko ludziom w szczęśliwej doli!

Helena Bojarska.

GOŚĆ NIESPODZIEWANY.

Mieszkańcy miasta Metz zaledwie przetarli oczy z nocnego spoczynku, nikt jeszcze ze swj siedziby nie wyjrzał, a mgła poranna walczyła z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, gdy stojący dla bezpieczeństwa na murach pacholek, zatrąbił po trzykroć, krótkim urywanym głosem.

Nie był to odgłos trwogi, owszem, witał on gości znakomitych i radość miastu oznajmiał. Zbudzeni jednak co tylko mieszkańcy, nie mogli sobie na razie zdać z tego sprawy. Każdy zaciekawiony wybiegał jak stał, jedni drugich pytali, co za gość do miasta przybywa. Trąby tymczasem z murów dęły coraz głośniej, oznajmiając zbliżanie się jakiegoś niepospolitego dostojnika. Burmistrz na to hasło kazał zwoływać rajców, ławników i całą starszyzną miejską; odziewał się też sam przystojnięj i klucze od bram miasta przygotował, aby wyjść naprzeciw przybywającego!

— A zaś nie zdrada jaka? — spytała go nieśmiało żona.

— Prawdziwie niewieście gadanie! — odrzekł niechętnie pan burmistrz. — Czy nie wiesz, że za rządów naszego pana, Karola Wielkiego, możemy być spokojni o wszelki napad. — I wzruszył ramionami, śpiesząc się z przygotowaniem na przyjęcie przybywających.

— A może to sam miłościwy cesarz przybywa? — ozwała się pani burmistrzowa, podając łośiowy kaftan małżonkowi.

— Co? — spytał z wielkiem zdziwieniem przedstawiciel władzy miejskiej i wpatrzywszy się ciekawie w mówiącą, stał z włożonym na jedną rękę rękawem, a drugą podniósł do góry.

— No, no! co tobie do głowy, niewiasto, przychodzi! to nieprzyjaciel... to cesarz... — powtarzał. — U niewiasty długi rozum, a krótkie włosy... tfu! długie włosy a krótki rozum chciałem powiedzieć... Hm! hm!... a może... i niewieście uda się coś mądrego przeczuć i powiedzieć.

— Zwłaszcza, gdy idzie o dobre przedstawienie się i godność pana mego a małżonka — odrzekła kobieta.

Burmistrz poglądził żonę po twarzy a wciągnawszy szybko kaftan zawołał:

— Prawda, prawda, więc przygotuj prędko chleb i sól; Erko niech również będzie gotów, klucze od bram za mną przyniesie.

— Chleb i sól już dałam pacholekowi, Erko na wasze rozkazy czeka w przedsionku, a oto klucze — dodała, zdejmując je z kołka będącego tuż u wezłowania pana burmistrza. Dostojnik miasta uśmiechnął się z zadowoleniem, a odebrawszy klucze z rąk żony, na którą przed chwilą jeszcze chciał spędzić swoje niezadowolenie, wyszedł prędko, a za nim gotowa na rozkazy drużyna.

Ulice też roily się już od ludu; straż przybozna pana burmistrza torowała mu drogę, a odgłos bębnów rozlegał się po najdalszych zakątkach miasta, któremu z murów wtórowały trąby, oznajmiające zbliżanie się liczne go a znakomitego orszaku.

— Cesarz, niewątpliwie cesarz! — mówił w duchu burmistrz, spoglądając na wspaniałe orszaki biskupi, ciągnący od strzelającej w górę wspaniałemi wieżycami katedry.

Nagle z murów zadźwięczała trąba raz, krótko, potem po dwakroć w pewnych odstępach ten sam odgłos słyszeć się dawał. Uciichły bębny i szmer zbierających się tłumów, każdy podniósł głowę do góry i słuch wyteżył, bo straż z murów dawała znak krótkim trąbieniem, iż chce oznajmić, kto zacz przybywa.

Wkrótce też rzucono z góry:

— Cesarz Karol!

— Cesarz Karol — podawano sobie z ust do ust, a radość malowała się na wszystkich twarzach, znać, że przybycie monarchy zwiastowało im nową jego opiekę i nowe nadania. Na ten odgłos dzwony z katedry się ozwały radosnem brzmieniem, trąby z murów odpowiadały przeciągłym graniem, a huk bębnów zagłuszał dzwony, trąby i okrzyki radosne ludu.

I miano się czego radować, przybywał bowiem Karol Wielki, król Franków, a przez papieża Leona III koronowany r. 800 na cesarza rzymsko-zachodniego.

Potęga cesarza była wielka ale i opieka jego sięgała w najdalsze zakątki obszernego państwa. Po niedawno odbytej koronacji wjeżdżał poraz pierwszy do Metz, dla którego hojną ręką sypał zawsze swe łaski.

Skrzypnęły bramy na ciężkich wrzeczadkach, burmistrz, obłany potem z wielkiego wzruszenia i pośpiechu, przykląkł na jedno kolano, podając mu na wzorzysto utkanęj poduszce klucze od miasta, kiedy tymczasem dwaj najstarsi rajcowie, na kutęj ze srebra tacy, składali chleb i sól na znak, iż gotowi całym swoim mieniem przyjmować dostojnego gościa, a słońce wyjrzawszy z za mgły porannej, rzucało pełne blasku promienie. Karol dotknął kluczy, uszczknął okruszynę chleba i zsiadłszy z konia, pieszo przekroczył bramę.

Teraz przedstawiła się jego wyniosła postać w całej okazałości. Głową przenosił najwyższych wzrostem ludzi, nikt zaś nie mógł się pochwalić dłonią tak silnie rozrosłą.

Ubranie monarchy było bardzo skromne: niższa część odzienia i kaftan bawoli, nogi w prostych ciźmach, na wierzchu zaś zarzucony płaszcz biały, zielonem bramowany dokoła, na głowie czapka dosyć wysoka, zdobna pióropuszem przypiętym drogim kamieniem. Lecz na prostym skórzanym pasie zwieszając się miecz wielki, ciężki, żelazny, który tylko dłoń Karola W-go udźwignąć mogła, robiąc go strasznym dla nieprzyjaciół.

Obok cesarza postępował Piotr z Pizy i Paweł Wirnefryd z Pawii, uczeni, których podczas wyprawy na Longobardów na dwór swój zabrał. Obadwaj nieodstępowali w żadnej podróży Karola W-go, jako też zakonnik Alkuin, sprowadzony z Anglii i Frank Angilbert. Mieli oni obowiązek spisywać wszelkie wypadki, w wolnych zaś chwilach Karol prowadził z nimi rozmowy, kształcąc się tym sposobem na każdym kroku.

Gdy cesarz wraz ze swoim otoczeniem przeszedł bramę miejską, biskup Metz wraz z duchownymi zastąpił mu drogę. Biskup podniósł ku górze dłoń, na znak błogosławieństwa, Karol zaś schylił kornie głowę, mówiąc:

— Błogosław nam słuگو Boży, a dostojniku kościoła, aby Wszechmocny wszelkim zamiarom naszym łaski swj udzielił.

I zaraz dodał:

— No, a jak tam młódz pod waszym kierunkiem się sprawuje?

Biskup na razie nie zrozumiał o co idzie, zwrócił więc wzrok pytający na Karola.

— Pytam o szkołę, wszak od lat czterech w Metz już założona?

Biskup skłonił głowę na znak potwierdzenia.

— Prowadźcie mnie do niej, ona to głównie mnie tutaj sprowadza. Ci co się teraz uczą, sprawować będą później urzędy duchowne i świeckie, idźcie mi więc o to, co tam przybyło w ich głowie.

Nikt się takiego zwrotu nie spodziewał, zrobiło się więc pewne zamieszanie wśród tłumu. Młodzież bowiem ucząca się, skorzystała z zamieszania i zamiast do szkoły, rozpierzchła się po ulicach, gapiąc się na przybywających.

Słowo jednak rzucone przez monarchę rozbiegło się lotem ptaka po najdalszych zakątkach. Usłyszał je najpierwszy dwumastoletni Denis i rozniósł między towarzyszy. Przechodząc więc padł na całą młodą rzeszę.

— Karol, cesarz będzie nas egzaminował!

— Co my jemu powiemy? — wołano na wszystkie strony.

— Co, co! to samo co nauczycielowi — ozwał się jakiś chłopiec śmielesz natury.

— Dobry sobie! — zakrzyczano go zaraz — to samo, co nauczycielom! a przecież to nie nauczyciel, jeno cesarz! oho!

— Spojrz tylko na niego, taki wielki, aż strach!

— Możeby się skryć gdzie? — poddano myśl zbawienną.

Chłopcy młodszy i starszy zaczęli się nad tem naradzać. Ochota ich brała umknąć poza mury miasta, w najciaśniejszy zaułek ulicy lub na strych ojcowskiego domu, ciekawość jednak przemogła. Widok wspaniałej postawy Karola Wielkiego, liczny jego orszak zajmował ich umysł młodzieńczy. Ociągano się więc z ucieczką.

— Co tam kryć się, nic nie pomoże; taki wielki, to jeno okiem błysnie a wszystko dojrzy — ozwał się znów któryś.

— I jeszcze potem ze skórą będzie robota! — dodał inny.

— Ja tam ani myślę kryć się; — rzekł wesoło Denis, ten sam, co pierwszy wieść przyniósł o egzaminie.

— Ba, ty!

— Taki mądrała!

— Taki śmiałek!

— On i przed cesarzem nie zapomni języka!

— Powiem, co umiem, a czego nie będę umiał, to się przyznam, żem zapomniał i koniec! — rzekł rezolutnie Denis.

— Hm, hm! — pomrukiwano — to też to sęk żeby umieć.

Ech, lepiej się schować — zawołał znów któryś, wracając do pierwszej myśli.

Lecz nie było już na to czasu, bo nauczyciel wielbny Klemens Szkot zwoływał młodź, a pachołkowie miejscy dopomagali mu do zebrania rozpierzchniętych.

Groźne a poważne oblicze Klemensa przywoływało młodzież do porządku, pachołkowie zgarniali mniej chętnych i opierających się w stanowczej chwili. Każdy drżał na samą myśl egzaminu przy cesarzu, nawet Denis stracił trochę odwagę i siedł teraz mniej rezolutnie niż poprzednio. Gdy jednak zasiadł na ławie szkolnej i spojrzął na nakreślone wyrazy nad drzwiami: „Bóg na ciebie patrzy”, westchnął i jakoś nabrał otuchy.

Cesarz na krótką chwilę wszedł do kościoła; ta chwila była dobrodziejstwem tak dla Klemensa Szkota i jego pomocników, jako też i dla uczniów. Chłopcy w obszernym przy katedrze budynku siedzieli na ławach, przed każdym na pulpicie leżały tabliczki drewniane, delikatnie pociągnięte woskiem i styl, to jest paterczek dobrze zaostrzony, którym na żądanie mieli kreślić litery. Przed starszymi leżały arkusze pergaminu, nadzwyczaj delikatne style i we fłaszczkach płyn czarny lub czerwony, którego zamiast dzisiejszego atramentu używano! Takich jednak, którzyby już na pergaminie pisali, było zaledwie kilku wybranych, na arkuszu przed nimi leżącym znać było ślady ich pracowitości, błyszczało po kilka wierszy gotyckimi literami nakreślonych, każdy zaś wiersz kolorową ozdobną literę miał na początku. Przed nimi na wielkim pulpicie stojącym na środku izby, leżała olbrzymia księga przytwierdzona ciężkimi na klucz zamykaniami kłódkami. Były to prawa nadane przez Karola Wielkiego, które

zdołniejsi uczniowie obowiązani byli przepisać, aby je po wszystkim państwie dla rozpowszechnienia rozესlano.

Cisza zalegała teraz izbę całą, każdemu serce biło dziwnym niepokojem, spoglądano na drzwi wchodowe, niektórzy wpatrywali się w Opatrzność Boską, niekształtnie nadedrzwiami nakreśloną, gdy nagle ukazała się olbrzymia głowa monarchy.

Nie mógł on się w dość niskie drzwi zmieścić, najpierw więc ukazała się jego głowa, a bystre oczy objęły siedzących malców, jak gdyby chciał zajrzeć do wnętrza ich serca. Wreszcie całą swą wyprostowaną postacią stanął, sięgając głową do sufitu prawie.

— Witaj nam monarcho, cesarzu Karolu! — zabrzmiały głosy młodzieży na dany znak przez Klemensa Szkota.

— Witajcie mi dzieci! — odrzekł Karol, uśmiechając się łagodnie.

— A co umiecie? — zagadnął.

Cisza zaległa przez chwilę, wstrzymywano nawet oddech, zdawało się, że te wyrazy całą młodzież w kamień zakłęły.

— No, Klemensie Szkocie, co umieją wasi uczniowie? — zwrócił się Karol do nauczyciela.

— Miłościwy monarcho, oto są prace najstarszych — odrzekł tenże cichym lecz dźwięcznym głosem, wskazując na rozpoczęte przepisywanie praw.

Karol przypatrzył się ich pracy.

— A wiecie, co przepisujecie? — zapytał.

— *Capitularii Caroli Magni* *) — odrzekł zagadniony nieśmiało.

— A co one znaczą?

— Nakazują spełnianie woli monarszej.

— Co ta wola nakazuje? — pytał dalej Karol.

— Sprawiedliwość każdemu, a naród broni od wszelkiego ucisku.

Pogładził się monarcha z zadowoleniem po brodzie, znać mu się odpowiedź podobała.

— Umiesz ty pisać — zwrócił się do znanego nam już Denisa.

Chłopiec nieśmiało podał mu swoją tabliczkę, z dość zgrabnie nakreślonymi gotyckimi literami.

Karol popatrzył ciekawie na litery i na drobną rękę chłopięcia, a potem przeniósł wzrok na swą dłoń olbrzymią.

— Masz jeszcze dłoń małą, nie dźwigałeś miecza, łączno ci ją do stylu nagiąć — rzekł jakby do siebie. A potem dodał:

— Napisz co zaraz. I usiadł tuż na ławie, aż ta ugięła się pod jego ciężarem.

Denis drżąc z początku, ośmielał się jednak powoli i pisał gotyckimi literami po łacinnie:

„Karol monarcha wielki, łaską swoją nas obdarza”.

— Ba i obdarzy! jeżeli się będziesz uczył dobrze, zrobię cię biskupem!

Potem zwrócił się do Piotra, towarzyszącego mu Pizańczyka i rzekł:

— Zapytajcie ich tam, co wiedzą o dawnych ludach.

Paweł zadawał pytania, nie wszyscy jednak na nie umieli odpowiadać! nie każdy też mógł się swoim piśmem jak Denis pochwalić.

Karol zwrócił się do opieszalych i rzekł surowo.

— Przysięgam na Boga, zapamiętajcie to sobie, że nie będę zwracał na nic uwagi, choćbyście byli synami najznakomitszych ojców, jeżeli się nie poprawicie ze swego lenistwa, żaden z was od Karola nie otrzyma”.

Potem zwrócił się do pilnych i roztropnych:

„Pochwalam waszą gorliwość, kochane dzieci, ucicie się, a was obdarzę znacznymi urzędami, zawsze o was pamiętać będę i uszanuję jako ludzi znakomitych **).

I rzeczywiście dotrzymał przyrzeczenia, ci co odznaczyli się przy owym egzaminie, zajęli potem wysokie urzędy na dworze Karola W-go, a ów Denis otrzymał bogate opactwo i był biskupem w St. Denis.

Z. Morawska.

*) Kapitularze Karola Wielkiego.

***) Historyczne.



Huta Bankowa w Dąbrowie Górniczej.

P. BOLTZMAN, SC.

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Najniespodziewaniej w świecie, drodzy moi, Gołąbka wasza w podróż rusza. Gdzie? za granicę, nad morze!.. Anim się tego spodziewała, anim marzyła o tój przyjemności, tём żywszej że nie jedziemy nad morze z konieczności poratowania zdrowia, ale dla zjechania się tam z przebywającymi za granicą krewnymi, których wcale nie znam jeszcze, choć słyszę o nich, odkąd żyję.

Oddawna już mi się zdawało, że coś się w domu knuje, widziałam jakieś przygotowania, jakieś krzątanie się, aż tu powiadają mi pewnego dnia: — „Gołąbko, kiedy pisać będziesz do Redakcyi?”

— List mam gotowy; czeka okazji na pocztę. — Będzie jutro raniutko. Nie zapomnij oznajmić, Dobrą Pani, że wyjeżdżamy za tydzień. — Jaktó... wyjeżdżamy? gdzie... wyjeżdżamy? Myślałam że nie wracamy do Warszawy przed końcem sierpnia? — I mówiąc to, czułam że mi się prawie na płacz zbiera, bo choć lubię Warszawę, choć tyle tam drogie mam osób, ale tak mi tu na wsi rozkosznie... — To też my nie do Warszawy wracamy. — A gdzież jedziemy? — pytam zdumiona. — Tam, gdzie pannę powiozą! — dogmatycznie wygłasza Julek, na co ja... wstyd się przyznać! z lekceważeniem ruszam tylko ramionami. Ale matka z uśmiechem mówi: — O! niedomyślny dzieciaku! więc nie zgadujesz, że jedziesz z nami za granicę? — Ja? ja za granicę? za-gra-ni-cę? powtarzam, własnym uszom nie wierząc, bo ani mi przez myśl nie przeszło, aby i mnie dopuszczono do tój wycieczki, o której wspomiano, jako o dalekim jeszcze projekcie. Pokazało się jednak, że wszystkie przygotowania poczyniono już dla mnie bez méj wiedzy; nawet Dobra Pani uprzedzoną już była o tём i posłaniec, który list mój odniósł na pocztę, przyniósł mi od niéj polecenie, abym w podróży pamiętała o was i pilnie uważała na wszystko, co widzenia i opisania warte. Zawsze ja sercem o was pamiętam i myślą z wami jestem, teraz zaś tembardziej, gdy tak czyniąc, zadość czynię woli tój, która dobro nasze ma zawsze na celu.

Co wyprawiałam z radości przed wyjazdem, tego wam już wolę nie mówić, boć to ze mnie przecie sędziwa „staruszką”, nie dzieciak, ani nie podlotek nawet. Uspokoiliam się dopiero, wsiadłszy do powozu, i rozmyślając, o czem by tu do was napisać z drogi jeszcze, z kraju, którego nie wszystkie okolice wszystkim z was są znane. A ponieważ w program naszej podróży wchodziło zwiedzenie Dąbrowy, umyśliłam więc opisać wam kopalnię węgla, tego czarnego węgla który jest niezbędną podporą przemysłu, a którego wydobycie połączone jest z takim trudem i tyloma niebezpieczeństwami.

Zaledwie się minie Częstochowę, już pociąg zwalniać zaczyna biegu i omijać wyniosłości, zastępujące miejsce równin, a tu i owdzie ukazują się ruiny starożytnych zamków, oraz piece wapienne i kominy fabryczne. Zdaleka jeszcze będąc od Dąbrowy, widzieć już można chmury dymu, wznoszącego się z tamecznych kominów a na pół jeszcze przesłonięte górą Gołonóg, na szczycie której wznosi się stary kościółek. Dawniej był on jedynym w tój okolicy; dziś Dąbrowa posiada swój własny, wzniesiony ze składek, mogący zmieścić około tysiąca ludzi.

Zbliżka wygląda Dąbrowa jak miejscowość, którą, niedawno trzęsienie ziemi nawiedziło. Cała powierzchnia poryta w doły, czeluście, rozpadliny, a po obu stronach szosy z Dąbrowy do Będzina stoją walące się domki, których nikt już podnieść nie ma zamiaru, bo się pod nimi zapada ziemia, nie mogąca utrzymać żadnego ciężaru na zbyt cienkiej warstwie gruntu, pozostawionego nad próżnią, nieużyteczną już dziś kopalnią. Takich próżni bezdennych zwanych *zawaliskami* jest tu pełno i miejsca to bardzo niebezpieczne dla przechodniów. To też, jako znak ostrzegający, stoi co kilkadziesiąt kroków słup z tablicą, na której wymalowano trupią głowę i dwie kości na krzyż złożone, zupełnie jak na fłaszce z trucizną, na muchy. Ale i to nie pomaga ludzie są nieuważni i wypadki zdarzają się często, a każdy prawie jest śmiertelny.

Dąbrowa składa się z kilku kolonij, w których znajdują się kopalnie różnej głębokości, do różnych należące właścicieli i zatrudniające nie jednakową ilość robotników. Najwięcej ich pracuje w kopalni, należące do Towarzystwa francuzko-włoskiego; największą jest kopalnia Warszawskiego Towarzystwa hutniczego i górniczego, ma bowiem 112 sążni głębokości. Najstarszą zaś jest kopalnia „Reden”, otwarta w r. 1805 przez Prusaków, dziś z powodu powstałego w niéj pożaru zasypana. Prócz kopalni znajdują się też w Dąbrowie i różne zakłady przemysłowe, między którymi trzymają pierwszeństwo należące do Huty-Bankowej. Są tu stalownie, odlewnie, walcownie i t. p. zakłady z żelazem i jego przetworami mające do czynienia; są prócz tego fabryki wyrobów garncarskich, majolik, cegły ogniotrwałej. Nigdy w życiu nie widziałam tyle pracy ludzkiej na jedném miejscu nagromadzonej i widok ten tak mi zaimponował, że w obec niego na drugi plan zeszedł w mojej uwadze okolice Dąbrowy.

Opis właściwej kopalni zacząć należy od tak zwanéj *odkrywki*, czyli miejsca, gdzie robota odbywa się jeszcze na powierzchni ziemi. Ztąd to pokład węgla zaczyna się spuszczać w głąb ziemi ukośnie; (bo takie zwykle miewa położenie) wykuty w nim chodnik zwany *pochylnią* prowadzi do najniższego punktu pokładu, skąd znowu idzie do góry pionowy otwór, t. j. *szyb*. Ten punkt najniższy jest razem punktem zbornym, dokąd licznymi chodnikami, połączonemi z główną pochylnią, spuszcza się całą kopalnię węgla, który winda parowa wyciąga przez szyb na powierzchnię ziemi, do *sortowni*. Ztamtąd rozgatkowany, idzie na pociągi kolei żelaznej miejscowej, umyślnie na ten cel zbudowanej.

Trudno wyobrazić sobie tę głuchą, *zupelną* ciszę, jaka w głębi kopalni panuje. Przerywa ją tylko czasem wołanie: „Pozór!” (czyli: baczność) rzucane przez chłopca, który pogania konia, ciągnącego szereg wózków z bocznego chodnika do głównej pochylni, albo huk prochu, używanego do rozsadzania pokładu węgla, którego bryły górnicy kilofami rozbijają. Nie słychać tu śpiewu ani gwizdania, bo zabobonni górnicy mniemają, że wywołać tём można złego ducha, który sprowadza nieszczęśliwe wypadki bardzo w kopalniach częste, a pochodzące zwykle z nieostrożności górników.

Trudno też sobie wyobrazić pracę w uciążliwych warunkach dokonywaną: pod ziemią, na dnie otchłani, w ciemności, którą tylko rozprasza światło lampki górniczej (urządzeniem różnej od zwykłych), stojąc, klęcząc, półleżąc, niebezpieczeństwem zewsząd otoczony, wyłamuje górnik bryłę po bryle one „czarne dyamenty” słusznie tak nazwane, bo i dyament jest nie czem innym, jak jedną z postaci węgla, i dzięki to węglowi, bez którego nie istniałby przemysł, stać niejednego przemysłowca na dyamenty.

I dla tego też może, że życie górnika ciągle wisi na włosku, jest on tak szczerze, tak prawdziwie religijnym i na pocięch w niepewnej jutra doli, utworzył sobie poetyczne podanie o św. Barbarze, która do górników, nagłą śmiercią zaskoczonych, przybywa z Komunią św. i rozgrzeszeniem.

W miarę jak się kopalnia rozszerza i pogłębia, cieśle budują podpory i drewniane sufity, czyli *stemplują*, a od dokładnego wykonania tój roboty zależy bezpieczeństwo górników, czasami jednak, gdy pokład węgla jest wyjątkowo ściśły, a chodnik wązki i niski, obyć się można bez tych wiązań drewnianych, podtrzymujących sklepienie podziemia.

Gdy węgiel w danéj miejscowości zupełnie zostanie wybrany, a *szlepry* i *szleperki* (pomocnicy i pomocniczki górników) wszystko już wywożą na wózkach, wtedy próżnie wyzerpané komory zasypują piaskiem i kamieniami, lub podminowawszy stemple, zawałają i stąd to powstały owe „zawaliska” które tak dziwny wygląd nadają powierzchni Dąbrowy. Wśród tych urwisk i rozpadlin wznoszą się tu i owdzie domy uboższej ludności; inne stoją jak wszędzie, wzdłuż ulic, w jednych i w drugich mieści się ludność dość znaczna, bo wynosząca do 12,000.

Nie umiem wam wypowiedzieć, jak silne wrażenie zrobił na mnie widok wnętrza kopalni, gdzie tak dla górników jak

...a zwiedzających gości, jest jeszcze druga pochylnia, nie ta, po której toczą się wózki. Ci czarni, osmoleni ludzie, w milczeniu snują się przejściami, w których tak trudno się zorientować a tak łatwo zgubiwszy się, śmierć znaleźć, ta ciemność, ta cisza, ta straszliwa odległość od pól i łąk, od słońca i kwiatów, to wszystko przejęło mnie do głębi. Ach! jak szczerze podziękowałam w duszy Bogu, gdy wydobywszy się na wierzch, zobaczyłam nad sobą jasne niebo!

Ale prócz podziemi i nieba, dużo ciekawych rzeczy widzieć można *na ziemi* w Dąbrowie. A najfantastyczniej wygląda ona w nocy i taką właśnie ukazuje wam przyłączony tu rysunek. W dali, nad Hutą-Bankową ukazują się łuna ogromna, z wielkich pieców wyskakują i zapalają się płomienie gazu, a wszystko razem odbija się w odkrywce „Cieszkowski” w r. 1873 zalanej wodą z powodu pożaru. Cudowny widok, powiadam wam!... A komu uprzejma zwierzchność pozwoli zajrzeć do wnętrza fabryk, ten się także napatrzy cudów, o jakich trudno mieć pojęcie. Tu blask bije od wylewanej stali, tu migoce przesuwana pod walcami szyna, którą ze zgrzytem krają piły, parowym motorem poruszane, tam znowu jak nić złota przewija się i płacze drut rozpalony, który póty przechodzi przez walce rozmaitego kalibru, aż nabierze żądanej cienkości. Łoskot młotów, szum pary, ogłusza: głosu ludzi nie słyhać przy nim prawie. A jednak rozum to ludzki kieruje niezamordowanymi tych maszyn działalnością, praca ludzka aż do wnętrza ziemi sięgnąwszy, ztamtąd do nowych prac bierze materyał!... A ten pan inżynier, który wraz ze *sztygarem* (starszym górnikiem) oprowadza nas po kopalni, a potem sam już jeden towarzyszy nam w wędrówce do fabryk i wszystko objaśnia, pokazuje, tłumaczy, taki jakiś prosty i skromny, jak najpospolitszy śmiertelnik! Aż się wasza Gołąbka zawstydzila, bo... bo... zdarza jej się czasem za wyśokie mieć o sobie rozumienie. Ale za to nigdy, *nigdy*, nie zdarza jej się zapomnieć o przywiązaniu swém dla was i dlatego z całą ufnością sercom waszym się poleca.

Wierna wam zawsze

Gołąbka

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

A w tem zagrzmiał drugi huk, w oddaleniu, prawdziwy armatni na ten raz, odpowiedź ze strony parowca, który też natychmiast zmienił kierunek, dając teraz wprost do stóp skał, na których szczycie powiewał biały sygnał w ręku Rahiba, a koło których miano przed chwilą wyraźny zamiar przepłynąć mimo, w pewnej odległości.

Wszyscy zbiegowie, na skale będący, podskoczyli, wstrząśnieni mimowolnym radosnym wzruszeniem, poderwał się i gospodarz z miejsca, jakby go piorun uderzył, i zamieniając tajemniczy gest jakiś z kobietą obserwującą wszystko z progu swjej chaty, puścił się biegiem w dół, skacząc po skałach, gdy równie nagle żona jego w głąb swjej nory się cofnęła. Ale pilnowano ich bacznie, i równocześnie prawie z podejrzaniami ewolucjami godnych małżonków, rzucono się na nich. Kobieta schwytano i skrupowano natychmiast, w chwili gdy jak gadzina jaka, usiłowała wślizgnąć się w nieznaczną jakby szczelinę w kacie, wiodącą niemylnie kędyś na zewnątrz, jako drugie tajemne wyjście z chaty. Ale z oberżystą inna była sprawa. Przywykły do skakania po tutejszych skałach, a przytem oczywiście obznajmiony z ich krętymi załomami, miał z konieczności niezmierną wyższość nad ścigającymi go, w tej bezdrożnej ucieczce. Przekonanie wszakże iż od schwytania go zależy ocalenie Klary, Wiliama i samych siebie, wszystkiego jednym słowem, dodawało nadludzki siłę nie tylko młodemu Anglikom i trzem ich wiernym sługom krajowcom, ale nawet i resztę służby pobudzało do niezwykłych wysiłków. Jeżeli zdawało się, że oberżysta mógłby pójść w zawody z tygrysem,

dziką kozą, lub małpą, w skokach i rzutach szalonych, to można przyrównać ścigających, do gromady nie już myśliwców, lecz psów myśliwskich oszalałych w namiętnej pogoni za zdobyczą. Krew broczyła ręce i nogi, poranione o kanty skał ostrych jak noże, piersi dyszały i rzerządy, ochryple od wzajemnych nawoływań celem oryentowania się i porozumienia, rozum mieszał się pod wpływem ognistych snopów słonecznych, padających nieledwie jak roztopiony ołów na czaszki, pozbawione okrycia w zajadłej gonitwie. A tymczasem ścigany złoczyńca ukazywał się tu i tam najniespodziewaniej i nikł znowu, jak ciemne szatańskie jakie zjawisko, aż raz gdy tak zaczętniał chwilowo na szczycie skały, zabrzmiał wystrzał... oberżysta zachwiał się wyraźnie i znikł... Przeciągły okrzyk tryumfu przeszył powietrze i wszyscy, a przede wszystkim John, żarłoczny John z dymiącą w tej chwili bronią w ręku, zbiegli się na miejsce wypadku, gdzie spodziewali się zastać nikiemnika leżącego bez duszy... zastali tylko krew... oberżysta znikł, i nie ukazał się więcej. Przeszukano całą najbliższą okolicę, zbadano, jak się zdawało, każdy zaułek skalny, każdy błotnisty dołek nawet, wszystko napróżno. I przyszła chwila, gdy uznawszy, że chyba ziemia rozwarła się pod zbiegciem, nieszczęśni Anglicy pozbawieni z rozpaczysię ostatka, poupadali, gdzie który stał, na ziemię, zalewając się łzami jak dzieci bezsilne; pewni, że, z niemylnym porozumieniem się oberżysty z dzikimi uprowadzającymi Klarę i Wiljama, ostatnia nadzieja powodzenia znikła. Teraz każdy wyrzucał sobie, że nie jemu to przyszła myśl wpierw jeszcze postrzelić go tak, żeby nie mógł uciec czy skryć się...

Do gonitwy w tak ciężkich prowadzonej warunkach nie należeli jedynie Thorn i Mac-Ulm, z łzami zalanymi oczyma śledząc tylko jej przebieg i bieg zbliżającego się jednocześnie parowca.

W pół godziny później, dowodzący nim kapitan Lory wylądował, siedział na głazie, otoczony Anglikami i ich służbą, powiadomiony już treściwie lecz dokładnie o wszystkim, co zaszło. Nie było potrzeby żadnych rozmów na osobności, ponieważ niebezpieczeństwo jednocy ludzi; ani też nie było potrzeby ukrywania się z naradą, gdy wszyscy czuli że są, lub mogą być widziani i co gorsza podsłuchywani bez swjej wiedzy przez wrogów, w nieznanem sobie zupełnie otoczeniu. Owszem, zamiast skrywać się w niezliczone zaułki skał nadbrzeżnych, usiedli na głazach, których wszędzie było pełno, w pośrodku małej przestrzeni na względnej płaszczyźnie, gdzie nie mogli być podsłuchanymi, ponieważ będąc widzialnymi zewsząd, i sami nawzajem widzieć musieli każdego, kto by chciał do nich się zbliżyć.

— Szkoda!... och, wielka na ten raz szkoda!... — westchnął serdecznie pan Lory...

— Szkoda! — westchnęła jak echo, otaczająca go część załogi.

— Czego? — spytał zwracając się ku niéj kapitan.

— Że my nie jesteśmy Anglikami, i że nasz mały parowiec nie jest wielkim angielskim okrętem, bo wtedy mielibyśmy wszelkie prawo pogospodarować na tych wybrzeżach i przywrócić na nich sprawiedliwość i miłosierdzie. O ile byśmy mogli przynajmniej! — odpowiedział bez wahania stary majtek.

— Tak jest! — zawołał z zapalem pan Lory — moi przyjaciele zgadują myśli moje! Szkoda że nie jestem Anglikiem, poraz pierwszy i bodaj ostatni w życiu mojem to uczuwam... szkoda że nie jesteśmy Anglikami, przeciw którym wrzekomo lud ciemny tutejszy występuje, gdyż jako Anglicy mielibyśmy prawo wystąpić czynnie w obronie waszój, drodzy nowi przyjaciele, gdy obecnie tylko na morzu pomagać wam możemy, wedle praw zobowiązujących, jako obcy. Nie wiem jeszcze wcale co da się zrobić, ale w każdym razie zapewniam was, że uczynię wszystko co tylko nie będzie sprzeciwiać się obowiązkom moim, aby ocalić wasze porwane dzieci. Pewną jest wszakże rzeczą, że dopóki parowiec stać tutaj będzie, nie zbliżą się ani statki handlarzy niewolnikami, ani bandy rozbójnicze z głębi kraju niewolników tamtym wiodące, dla tego sądzę, że najpilniejszą rzeczą, jaka pozostaje mi do zrobienia, jest, stąd się oddalić...

— Oddalić się!... A cóż pocznjemy bez ciebie, kapitanie?

— Będziecie czekać i uważać na okoliczności, tak samo jak i my, ukryci tymczasem wraz z parowcem w maleńkim skalistym zaułku, ślicznej zatoczce bardzo wygodnej, jakich pełno jest na tych wybrzeżach, ale z których ciężkie i stare statki handlarskie nie zawsze dla zbyt płytkiej wody użytkować mogą. Nie bójcie się, mają oni swoje sposoby na nas, ale i my mamy nasze: ani się spostrzegą, gdy zniknąwszy im z oczu na pełnym morzu, schowamy się do zatoczki i tam czekać będziemy, jak w jaskini jakiej, na ukazanie się niegodziwców, prowadzących wasze dzieci, aby za danym przez was znakiem przyjść wam z czynną pomocą. Dalej na wodę zatem, niema czasu do stracenia!

— Ależ ten szpieg handlarski, bo nie czém innym jest człowiek, który nam uciekł, zawiadomi niemylnie swych wspólników handlarzy i dzikich łotrów o naszej i waszej obecności, gdy na nieszczęście wymkną się nam z rąk zdołał! Prawdopodobnie już oni nie przyprowadzą tu swych więźniów!

— Tylko co z nimi zrobią? Wątpię aby przywiódłszy ich tutaj, mieli ze strachu przed wami wyrzec się spodziewanego zysku, kończąc z jeńcami, gorszym jeszcze jakim sposobem. Prawdopodobnie gdy nas nie będzie widać, targ zacznie się odbywać nie zważając na was, albo raczej może z zamiarem pomnożenia waszemi osobami ilości towaru. Ani wątpię, że dzicy z głębi kraju, jeżeli istotnie dążą tutaj, a dowiedzą się o was wcześniej, to przywołają tylko współplemienników na pomoc ze względu na was, ale zamiarów nie zmienią. Zresztą, skądże macie pewność, że mieszkaniec tutejszych skał uciekł po to, aby ich powiadomić o waszych zamiarach, jeżeli ich sam nie wiedział?...

— To prawda!... mógł zanieść im jedynie wiadomość, że zastaną tu jakichś ludzi i parowiec francuzki, ale nie to, że ci ludzie na nich czekają... — przyznał Mac-Ulm, zdziwiony trochę, że ta prosta uwaga nie przyszła jemu i jego towarzyszom na myśl.

— Możeby jednakże nie było od rzeczy szukać jeszcze tego człowieka, właśnie dla tego aby powiadomieniem o naszej obecności, nie sprowadził nam zbyt wielkiej liczby nieprzyjaciół?... A wszakże jeżeli jest ranny i to dosyć mocno, jak tego krwawy ślad dowodzi, to nie mógł uciec daleko...

— Tak, prawdopodobnie ukrył się tylko w niedostrzeżonej jakiejś kryjówce, i niemylnie lepiejby było, gdyby nie mógł z nadchodzącymi się porozumieć, szukajcie go zatem, ale wierzcie mi, że obecność mego parowca wcale dla waszych planów nie jest korzystną. Jeżeli chcecie, mogę zostawić z wami mego jednego zucha znającego okolicę, aby pośredniczył między nami w miarę, jak wypadki będą wymagały porozumienia lub doprowadził was do mojej zatoki. Ho! Carré!...

— Słucham, kapitanie!

— Pozostaniesz z panami!... aby pełnić funkcyę telegrafu, gołębia pocztowego lub maszyny do mlócenia łotrów, do czego masz wrodzone zdolności!

— Wedle rozkazu, kapitanie!

— Do widzenia!... przyjaciele!

— Oby w lepszych okolicznościach!

— No, no, odwagi; nie jesteście przecież obecnie w gorszych niż w chwili opuszczenia Tungary.

Zamieniono serdeczne uściśnienia dłoni i Anglicy mimo własnej wiedzy ożywieni trochę i pocieszeni żwawością pełnego otuchy młodego Francuza, pozostali znów sami na wybrzeżu, ścigając wzrokiem unoszącą go łódkę a później parowiec.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Dla Pegaza skrzydlatego, od Ikara i Gapeusza.

Początkowe litery odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko poety polskiego, a końcowe odczytane w tym samym kierunku, tytuł jednego z jego utworów. Sylaby. O—u—na—mer—so—o—mon—sta—li—kro—bol—ro—las—ne—nyx—zem—chi—ich—war—ne. — Wyrazów 9. Znaczenie wyrazów. 1. Historyk polski. 2. Przyrząd do łapania koni. 3. Kamień. 4. Imię psa. 5. Pieniądz używany w starożytności. 6. Miasto sławne bitwą. 7. Zwierzątko czczone przez Egipcyan. 8. Miasto w Ameryce. 9. Tytuł komedyi Fredry.

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

Z a g a d k i:

M o d l i t w a.

Łamigłównki sylabowej:

1. Radziwiłów. 2. Ostrygi. 3. Dante. 4. Zajac. 5. Irokez.
 6. Nebo. 7. Nabuchodonozor. 8. Ely.
- Wieczory rodzinne.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Słynny rozbójnik p. Z. U. (z drzew.) — Piosnka prząśniczki, wiersz p. Helenę Bojarską. — Gość niespodziewany p. Z. Morawską. — Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzew.) — W Indyach. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Dobra siostrzyczka (z drzew.) — Dzieteczki przy śniadaniu, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Dobre serduszko Lucia i Zosi. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



DOBRA SIOSTRZYCZKA.

— Wandeczko—mówiła mama, kładąc okrycie, do ośmioletniej córeczki—muszę koniecznie wyjść teraz na miasto za pilnym interesem, pozostaniesz więc sama w domu i będziesz musiała pamiętać o Stefanie, który się niedługo obudzi. Jesteś już w tym wieku że potrafisz przecież wyręczyć mamusię i zabawić małego braciszka. Ja powrócę niedługo, a tymczasem pamiętaj nie otwierać drzwi nikomu i nie pozwól Stefciovi płakać za mną. Słyszysz, córeczko?...

Wandeczka złożyła książkę z powiastkami, którą czytała, nadstawiła mamusi na pożegnanie rumianą swą buzię i zamykając drzwi za wychodzącą, zawołała pewna siebie:

— Bądź spokojną mateczko, zrobię wszystko co każesz...

I została w domu sama jedna. Inna dziewczynka może bałaby się trochę, ale ona czuła się dumną, że pod jej opieką pozostawiono dom cały i śpiącego w drugim pokoju braciszka. Zresztą i czegoż baćby się miała?... Wiedziała, że duchów niema na świecie i tylko niegrzeczne dzieci nimi straszą...

Wzięła więc napowrót książeczkę i na paluszkach poszła z nią usiąść przy łóżeczku Stefcia, aby przypadkiem skoro się obudzi i nie zobaczy nikogo przy sobie, nie zaczął płakać. Ale Stefcio był grymaśnikiem nielada. Wprawdzie miał zaledwie trzy lata i czasami mógł sobie jeszcze pozwolić, ale nieraz pozwalał też sobie za wiele, sprawiając tem niemały kłopot mamie i siostrzyczce. Tak też na nieszczęście było i teraz. Zaledwie Wańdzia rozpoczęła ciekawą jakąś historyjkę z „Wieczorów” a już mały śpieszek poruszył się na łóżeczku i nim jeszcze zdołał otworzyć oczy, zaczął przywoływać mamy!

— Cicho Stefciu, mamusi niema ale zaraz powróci—uspokajała siostrzyczka pochylając się i całując grymaśnika.—Tymczasem będziemy się bawili konikiem. No wstań, patrz, tam konik czeka na ciebie, widzisz go?...

Ale Stefcio nic nie słuchał. W tej chwili gwałtem zachciało mu się mamy, wołał więc na cały głos:

— Ja nie chcę konika, ja chcę mamy!... mammo, mammo!...—I ani myślał przestać krzyczeć.

— O mój Boże, co ja z nim zrobię — zawołała prawie ze łzami dziewczynka. — Niedługo może nadejść mateczka a obiecałam jej, że potrafię go zabawić. Co robić!

Poznosiła mu wszystkie zabawki, całowała, uspokajała, próbowała opowiadać bajeczki, wszystko bezskutecznie. Była zrozpaczoną!... Aż naraz przyszła jej myśl. W swojej szufladce miała na spodzie w starannie zawiniętem pudełeczku śmiesznego arlekina, którego niedawno otrzymała w podarunku od ukochanego wujaszka. Wujaszek przywiózł jej z zagranicy ten dowcipny figiel, to też szanowała go bardzo i rzadko kiedy sama się nim bawiła. Teraz przecież nie wahała się ani chwili. Otworzyła szufladkę i wydobywszy zabawkę, pobięła do rozgrymaszonego chłopczyka. Pod spodem kwadratowego pudełeczka znajdowała się mała sprężynka, za pociśnięciem której nagle otwierało się wieczko i ze środka wyskakiwał pociesznie przystrojony arlekin.

Figiel był bardzo śmieszny, to też dziewczynka uszczęśliwiona była, że tem może zdoła uspokoić Stefcia.

Z uradowaną więc minką posadziła go na krzeselku i wysuwając ku niemu zabawkę, pociśnęła sprężynkę.

W jednej chwili Stefcio zapomniał o całym świecie i zaczął śmiać się serdecznie. Łzy jeszcze spływały mu po buzi a już wyciągał rączki wołając:

— Daj mi to, daj!—Mały kolorowy człowieczek z najeżoną czuprynką i rozkrzyżowanymi rękami podobał mu się niezmiernie. Chciał koniecznie wziąć go w rączkę i przypatrzeć mu się z bliska. Wańdzia zaważała się chwilę, bojąc się powierzyć psotnikowi swój ulubiony podarunek, ale widząc, że powtórnie zbiera mu się na płacz, zamknęła pudełeczko, a naciskając paluszką jego denko zaczęła go uczyć, jak się otwiera. Nauka poszła szybko. Pajac wyskakiwał raz poraz i uradowany chłopczyk bawił się wybornie.

W tej chwili ktoś zadzwonił. Wańdzia zostawiwszy braciszka z zabawką, pobięła otworzyć, była to mama.

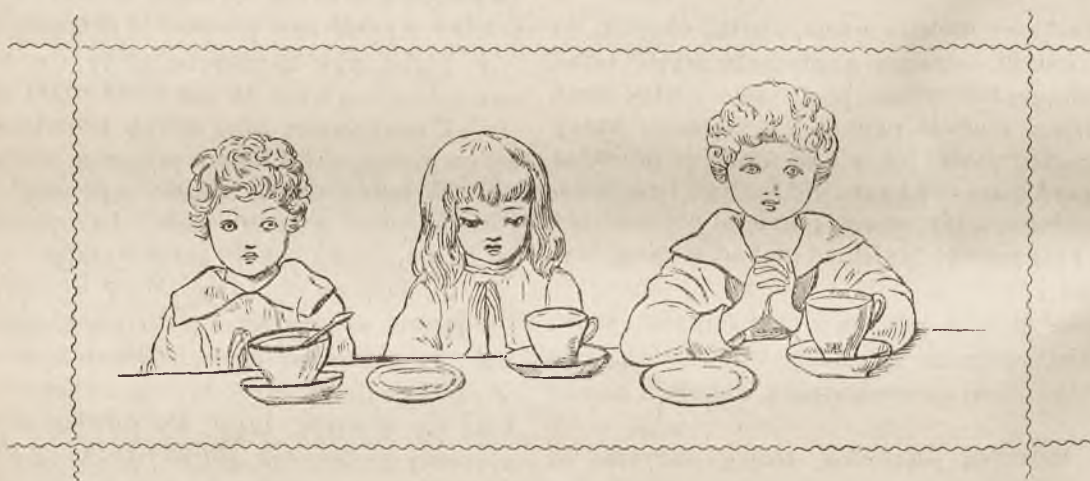
Mateczka ucieszyła się bardzo, widząc synka bawiącego się wesoło, i uściskała za to córeczkę, ale jakież było zmartwienie Wańdzi, skoro powróciwszy po chwili, zastała zabawkę porzuconą na podłodze. Podniosła ją i ze strachem zaczęła oglądać. Potem próbowała otworzyć, ale zepsuta sprężynkę nie można już było nacisnąć. Po długich usiłowaniach otworzyła się wreszcie, człowieczek już jednak nie wyskoczył jak dawniej, tylko skurczony pozostał na spodzie. Wańdzi łzy zakreśliły się w oczach. Jej ulubiona zabawka była zepsuta!... Miała ochotę płakać, ale się powstrzymała i nic nie mówiąc, schowała do szufladki zepsutego arlekina.

Wołała widzieć zadowolenie mateczki, jak martwić ją swymi drobnymi kłopotami. I potem też nie wspomniała o tem nigdy...

Dziateczki przy śniadaniu.

Dano śniadanie, wnet też do stołu
Małe dziateczki siadły pospołu.
O! jeść by rade, śniadanko nęci,
Lecz one zawsze mają w pamięci:
Że przed jedzeniem najpierw potrzeba,
Szczerą modlitwę przesłać do nieba,
Aby z wysoka Stwórca łaskawy
Pobłogosławił wszelkie potrawy.
Więc się żegnają, potem w pokorze,
Złożywszy rączki, mówią: O! Boże!
Błogosław wszystko, co tu w tój chwili,
Będziemy jedli, będziemy pili,
I przyjmij od nas serdeczne dzięki
Za dary, które mamy z Twój ręki!
Po modlitewce smakuje lepij,
Pokarm też pewnie siły pokrzepi,
Pójdzie na zdrowie, bo z krzyża znakiem.
O! jedzcie dziateczki, jedzcie ze smakiem!

Helena Bojarska.



Dziateczki przy śniadaniu.

Dobre serduska Lucia i Zosi.

Lucio i Zosia młodsza jego siostrzyczka, dostali mnóstwo podarunków od ciotki, która przyjechała z daleka. Oboje więc usiedli na miękkim dywanie, porozkładali naokoło siebie skarby swoje i bawili się uszczęśliwieni, śmiejąc się ze wszystkich sił z zabawnych skoków pajaca, układając laleczkę w przepysznej pościeli, przerzucając wzajem do siebie piękną piłką. Wtem przyszła ulubiona ich kotka Lizusia, usiadła, ale zamiast figlować po swojemu, zamyśliła się jakoś. Dzieci spostrzegłszy smutną minę Lizusi, zasmuciły się także i pytały babuni:

— Czy Lizusia nie chora? Czy babunia pogniewała się na nią? Czy może jój przykro, że niema zabawek dla swych dzieci?

Babunia wytłómaczyła, że kotce obojętne są zabawki, a jeżeli smutno wygląda, to dla tego, że jój śniadania dać zapomniano. Dzieci, usłyszawszy to, zaczęły myśleć jakby prędzej Lizusie nakarmić, aż stanęło na tem, że jój udzielią różnych przysmaczków z własnego drugiego śniadania. Lucio przyniósł zaraz kilka

plasterków szynki, Zosia bułeczkę i wszystko włożyli do koszyka okrągłego, gdzie spały kocięta około Lizusi, która spała już także z niemi.

— Jak się Lizusia obudzi i zobaczy te przysmaki to się dopiero ucieszy — szeptali sobie.

Ale kotka spała twardo.

— Trzeba ją przebudzić, żeby się prędzej ucieszyła — rzekł wreszcie Lucio, wziął sztuczną myszkę wybornie zrobioną, uwiązał ją na długiej cieniutkiej niteczce, i zaczął ją ciągnąć po posadzce tuż koło kosza, zupełnie tak, jakby chodziła.

Na szelest ten Lizusia otworzyła jedno a potem drugie oko i w tejże chwili rzuciła się na myszkę, myśląc że jest żywą, wyskakując przewróciła koszyk. Przebudzone kocięta zabrały się do leżących naokoło bułeczek i szynki. Lizusia spostrzegłszy to, niezmiernie się ucieszyła. Z radości najprzód pomogła jeść dzieciom swoim, a potem tak się prześlicznie zaczęła bawić ze sztuczną myszką wraz z niemi, że nietylko dzieci, ale nawet i starsi aż się pokładali od śmiechu.

Tak to dobre serduska dziatek, wszystkim sprawiły uciechę.

OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

Ach ta przechadzka, cóż za porównanie z dawnymi spacerami po miękkich, piaszczystych uliczkach ogrodu! Chodziłem jednakże dla zabicia czasu, nie mając nic lepszego do roboty, gdy nagle... stanąłem zdumiony: słońce świeciło prosto na moje puszyste futerko zupełnie jak w mojej drogiej ojczyźnie, na rozkosznym zagonie kapusty, a przed moim zdziwionym wzrokiem zamajaczyło w oddali pogodne, błękitne niebo z całym zastępem przejrzystych obłoczków i szumiące wierzchołki ogrodowych drzew. Spoglądałem pełen zachwytu; chmurki, swobodnie pływające w przestrzeni, zdawały mi się tak bliskie, tak bliskie, przytem tak lekkie i ponętne, że przyszła mi śmiała myśl wycieczki w tę czarowną krainę. Posunąłem się naprzód raz i drugi; jeden krok jeszcze, a spełnię moje życzenie; ale nie, nagle zatrzymała mię dziwna jakaś przeszkoda, cienka, delikatna, prze-

zroczyta, a jednak nieprzebyta. Z początku zdawało mi się, że to proste złudzenie wywołane brakiem sił, że z pewnym trudem pokonam przecie tę zaporę, ale wszystkie moje usiłowania okazały się daremnymi.

— Patrz, Zosiu, liszka chce się wydostać oknem — zawołała najmłodsza dziewczynka. — Oho, nic z tego kochaneczko, musisz zostać, albo ci tu źle? masz wodę, liście, mieszkanie, przechadzki...

Tak, mam wszystko prócz jednej rzeczy, prócz swobody, bez której niema szczęścia na świecie, pomyślałem z goryczą. Dałem pokój dalszym próbom i zadumałem się głęboko, jak to nieraz w życiu pragnienia nasze zdają się jednym krokiem przedzielone od wymarzonego celu, krokiem małym, nieznacznym, a jednak nieprzebytym...

Z nudów, a potrochu dla zagłuszenia dokuczliwego głođu, zacząłem się bacznie przyglądać mieszkankom tej ponurzej miejscowości. Trzy ich było: najstarsza duża, właścicielka surowego głosu, dwie drugie, małe dzieci jeszcze; z tych starsza miała jasny warkocz i jasne oczy, młodsza ciemniejsze włosy i oczy, obie siedziały naprzeciwko siebie przy długim, czarnym stole i ciągle coś mówiły, mówiły, mówiły... dziwię się, że ich to nie męczyło. Czasami przerywały mowę i śmiały się serdecznie, kilka razy panienska z groźnym głosem uśmiechnęła się lekko, ale w tej chwili przybierała surową postawę.

— Dosyć dzieci, dosyć — wołała — można pożartować byle niedługo, czasu szkoda; dalej, opowiadaj Janiu, albo, mów Zosiu.

Dowiedziałem się tym sposobem, że właścicielka jasnego warkocza nazywa się Zosia, ciemnego Jania, co do najstarszej, młodsze zwały ją Celą. Przyznać muszę, że osoba ta od pierwszej chwili zrobiła na mnie bardzo niemiłe wrażenie i wzbudziła szczególniejszy postrach; nie żeby jej postawa była wielce zatrważająca, owszem, wyglądała nawet dosyć przychylnie i zdawała się żywić nader przyjazne uczucia względem mnie, ale znasz nasze przysłowie: „pozory często mylą”, a ja odczuwałem wilka w tej owczej skórce, gdyż dziwnie przerażały mię jej krótkie, stanowcze słowa, surowe zmarszczenie brwi i niecierpliwe wykrzykniki. Przytem w ciągłym była ruchu: z książką w ręku ustawicznie krążyła koło stołu, zatrzymując się od czasu do czasu przed jedną lub drugą małą rozpowiadała im coś prędko. Dziewczynki słuchały uważnie, potem znowu mówiły. Widok ten, tak dziwny i niezrozumiały, nadzwyczaj mię zaciekał; w skutek wielkiego zajęcia zapomniałem nawet chwilowo o największej trosce mego żywota, o pustym żołądku i skupiłem wszystkie moje umysłowe zasoby, ażeby zrozumieć o co rzecz idzie. Zauważyłem przytem, że ludzie są większemi gadułami od naszych odwiecznych nieprzyjaciół, zawsze krzykliwych ptaków. Nareszcie, z właściwą mi domyślnością odgadłem, że tu nie idzie o czcze zadowolenie nagannego gadulstwa, ale o rzecz stokroć ważniejszą, o naukę. Nauka, wiadomo, że nikt jej nie ceni więcej od nas owadów, z innym też zaraz uczuciem spoglądałem na szczebiocące dziewczynki, wiedząc, że nie czynią tego dla płochłej zabawki, ale z poważniejszą myślą.

Zacząłem się przysłuchiwać uważnie w nadziei skorzystania czegoś, gdyż choć już dawno ukończyłem edukację i należałem do liczby starannie kształconych liszek, ale jestem zdania, że całe życie uczyć się należy, jeżeli ktoś pragnie mieć uznanie i znaczyć cośkolwiek w owadziem społeczeństwie. Rzeczywiście, wiele ciekawych rzeczy dowiedziałem się dnia tego, a szczególniejęd podobaly mi się wiersze, które dziewczynki stojąc wypowiadały kolejno. Pomawiają biedne gąsienice o brak wszelkiego poczucia piękna, poetycznego nastroju; jednakże ta słodka harmonia artystycznie dobranych dźwięków zlewając się w dziwnie miłą całość, nadzwyczaj przyjemne zrobiła na mnie wrażenie i... nie wiem czy ja tylko stanowiłem wyjątek w ogólnej regule, ale czułem się wzruszonym i przejętym do głębi serca. Widocznie tylko bogato uposażone istoty mogą pojąć i przeniknąć ducha prawdziwej poezji.

Naturalnie w wierszach tych głównie była mowa o ludziach, ale wspomiano także o kotach, zającach, niedźwiedziach, a nawet, wyobraź sobie w jednym była wzmianka o muchach, a w żadnym o motylach. Teraz kiedy się nad tem uważnie zastanawiam, czuję się trochę obrażonym, wszak bezwątpienia my jesteśmy pierwszymi pośród owadów.

— No tak, zapewne, jeżeli się sądzi tylko z pozorów, z powierzchowności — zauważyła szczypanka widocznie niezadowolona z zarzumiałości motyla — podług mnie jednakże przymioty umysłu i serca na większą zasługują uwagę.

(d. c. n.)

ZAGADKA NA ŚNIADANIE.

— Dzieci, poszukajcie mi jaj — prosiła Grabska, gospodyni domku, w którym mama Bogdanka, Julisia i Wańdzi bawiła z niemi przez lato. — Szkaradne kury, niosą się gdzieś po łąkach! Bogdanku, tyś najstarszy, weź koszyczek i rachuj, ile które z was znajdzie. Z połowy jaj, które przyniesiecie, zrobię wam na śniadanie jajecznicę.

Dzieci pobiegły chętnie i zaledwie pół godziny upłynęło, wracały już z pełnym jaj koszykiem, Bogdank znalazł siedm, Juliś ośm, Wańdzia tylko trzy; nie chciała ich oddać braciszкови i niosła je w fartuszk, ale potknęła się, upadła i... zrobiła się jajecznica! Bogdank, jako troskliwy braciszek, pośpieszył jej na pomoc, ale koszyczek mu się przechylił, wypadło z niego pięć jaj, które się także potłukły. Ze smutną minką wracały dzieci, bo i przykro im było, że Grabskiej zrobiły szkodę i tak mało im jaj zostało... a z tych pozostałych połowa tylko pójdzie na jajecznicę! Na szczęście Juliś znalazł jeszcze sześć jaj i włożył je do koszyczka. Grabska dowiedziawszy się o wszystkim, skrzywiła się trochę, ale że dobra była dla dzieci, więc nic nie mówiąc, zrobiła jajecznicę z połowy przyniesionych jaj. Pytanie: ile dzieci jaj znalazły? ile stłukły? ile ich było z temi, które znalazł Julek? ile jaj użyła Grabska na jajecznicę?

ZADANIE KONIKOWE.

ułożył Pegaz.

| | | |
|-----|------|-----|
| mu | blą | zuj |
| dro | * | ce |
| dzą | wska | gę |

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go

Szarady:

P a r y ż.

Łamigłówki literowej:

Wieczory rodzinne.

Skrzynka do listów.

Nowemu prenumeratorowi, **Warszawiakowi**, śpieszymy odpowiedzieć, że łamigłówkę przez niego przyslaną (o ile takowa po przejrzeniu okaże się dobrą) wydrukujemy nie pierwszej, aż gdy przyjdzie na nią znana naszym czytelnikom „kolej”. Nie cieszy się ona niczyją sympatją, jest jednak konieczną w obec nawału szarad, zagadek, łamigłówek i t. p., nadsyłanych nam, a po większej części dobrze ułożonych drobnostek. Warszawiak, jako nowo przybyły nie zna jeszcze naszych porządków: oto prosimy zawsze, aby liściki, łamigłówki i t. p., przysyłać nam na osobnej kartce niż ta, na której się mieści list do nas. Prosimy także o wymienienie obok pseudonimu, imienia, nazwiska, lat i adresu.

Bardzo nam miło, że **Irys** i **Mimoza „z Lublina”** (tak ją nazywać będziemy dla odróżnienia od dawniejszej: **z Radomia**) „przełamały pierwsze lody”. Tak; gronko nasze, choć rozproszone, zwar-te jest jednak tą miłością, która łączyć powinna rodzeństwo... O liściku pamiętać będziemy.

Cyganecko, Figlarko, przeczytajcie, co Warszawiakowi odpisu-jemy w kwestyi liścików i łamigłówek. Ma się rozumieć, że li-scik niewydrukowany w jednym numerze, odkłada się na później. Czasem na te „później” czeka się dość długo! Każda z was, naj-milsze korespondentki, chciałyby pisywać przez Wieczory do swych rówieśnic, a miejsca mamy tak mało!

Biała Ostróżko, prosimy o nadesłanie rozwiązania łamigłówki.

W imieniu nieobecnej Gołąbki odpowiadamy **Wiewióreczce Inflantskiej**, że prawdziwą nam przyjemność sprawia wiadomość o radości, jakiej doznała, otrzymawszy nagrodę. Dostała ci się ona „naprawdę” za wypracowanie konkursowe. Żałujemy szczerze, że wiek i odległość nie pozwala nam należyć do chóru piosenki „O wilku”.

Filaretka mnóstwo pytań zadaje... Na jedno odpowiedzieć nie możemy, dla tego, że sama Gołąbka odpowiadać nie chce na nie, jako na tyczące się jej osoby. Na inne zaś po prostu **nie może-my** dać odpowiedzi. Brak czasu nie pozwala na przerzucanie książki pseudonimów; zresztą... na to są pseudonimy, aby strzegły tajemnicy nazwiska.

Po części to samo odpowiadamy **Gałązce paproci**. Tajemni-

cą kwiat swój otaczająca, powinnaś pojmować całą ważność tajem-nic... redakcyjnych.

Kochana **Biała Ostróżko!** Nie jestem **Wiktusią N.**, ale **Zo-sią K.** Mam 3 siostry i 2 braci, mam lat 12 i mieszkam na wsi. Pisuję do **Wieczorów Rodziny** pod pseudonimem „**Sikorka**”, a moja starsza siostra — pod pseudonimem „**Sikorka z nad Utra-ty**”. Ścisła cię serdecznie **Sikorka**.

Jestem uczniem 4 klasy, mam lat 14; z twego listu, kochany odważny **Pływaku**, widzę, że lubisz rozrywki, które i mnie wiele sprawiają przyjemności, nad nie jednak przenoszę czytanie histo-rycznych powieści. Odpisz mi, proszę, gdzie spędziłeś wakacje?... Ja nazywam się **Eugeniusz P.** i mieszkam na wsi, chodzę zaś do gimnazjum w **Białej Cerkwi**. Twój **Filozof**.

Kochani **Ikarze** i **Gapeuszu!** Dziękuję wam za ofiarowaną mi łamigłówkę i ofiaruję wzamian swoją. Bliższych o mnie szcze-gółów udzieli wam list mój, drukowany niedawno do **Księcia Ge-njuszów**. Ścisłam wasze prawice, **Pegaz skrzydlaty**.

Droga Jaskółeczko z nad Sekwany! Czy o tobie pamiętam, moja ty sędziwa, pierwsza, a dodaj do tego tak miła koresponden-tko? Jakżeż mnie o to pytać możesz! Nietylko pamiętam, ale nawet dotąd odżałować nie mogę tego, żeśmy się bliżej nie zapo-znały. Kto wie, może to jeszcze nastąpi wkrótce, a wtedy opo-wiem Ci ustnie, że mimo twego sędziwego wieku kocham Cię tak, jak prawdziwą siostrzyczkę. **Brzydotka z nad Tamizy**.

Mile moje: **Blondynko z pod Piotrkowa**, **Sosenko**, **Stokrotko z nad Stochodu**, **Bławatko z nad Horynia** i **Wiochno z pod Lu-blina!** **Blondyneczko**, i ja, rok temu jeszcze, pod **Piotrkowem** mie-szkałam, sąsiadowaliśmy więc ze sobą, czy nie zechcesz napisać mi choć pierwsze litery swojego imienia i nazwiska? **Drogie:** **Sosenko**, **Stokroteczko** i **Bławatko**, ścisłam was serdecznie. **Wiochno** lu-ba, niemiernie mi się podobało to, co napisałaś do **Jesieni** o poezya, i wyobrażam sobie, że musisz mieć wiele hartu duszy. Polecam się waszją pamięci. **Ukrainka na Mazowszu**.

Kochana **Gałązko Heliotropu!** Poznałam cię z opowiadań naszej wspólnej znajomój i rozpoczynam z tobą korespondencyą. Donieś mi, jak długo pozostaniesz w **Kaliszu** i gdzie będziesz na pensyi? Przesyłam Ci serdeczne pozdrowienie. Zgadnij kto je-stem? **Sarenka z nad morza Bałtyckiego**.

Kochana **Kuropatewko z nad Warty**. Zaczynam dopiero pi-sywać do **Wieczorów** i pierwszy mój liścik jest do ciebie. Miesz-kam także na wsi, uczę się w domu, mam lat 12, na imię mi **Zofja**, mam trzy siostrzyczki i dwóch braciszków. Jedna z moich sio-strzyczek jest w równym wieku z tobą, przeczytałam jęj, coś napi-sała, i bardzo jęj się podobała wzmianka o żółtej kurce tak samo jak i mnie. Bądź tak grzeczna, kochana **Kuropatewko** i odpisz mi jaknajprędzej. Całuję cię serdecznie **Sikorka**.

Dziękuję ci za miły liścik, kochana **Księżniczko z nad Wisły**, czuję się prawie z tego dumną, że odpisałaś tak wiele młodszej korespondentce. Odpowiadam ci krótko, bo nauki zajmują mi wiele czasu, a potem ten nieszcześnie brak miejsca... U nas w ogrodzie wszy-stkie kwiaty pięknie kwitną, chciałabym aby zawsze było lato, bo tak wesoło, swobodnie, jak motylek bujać po dworze. Ścisła cię serdecznie **Wiewióreczka Inflantska**.

Oj! Ty **figlarko**, **droga Jodelko z nad Noteci!** Zdaje mi się że jesteś moją drogą **Niunią R. z L.**? A tą **Niną** czy nie ja jestem? Ciekawą jestem losów naszych wypracowań konkursowych. Może ty nagrodę dostaniesz! Twoja **Trawka z nad Fryby**.

Kochana **Niezapominajko z Zacisza** i **Niezapominajko z nad Jabłoni!** Podobne mamy pseudonimy, dla czego więc nie mamy pisywać do siebie przez ulubione pisemko? Donieście mi, gdzie miesz-kacie, jakie są wasze imiona, ile macie lat i czy dawno pisuje-cie do **Wieczorów?** Przesyła wam uściśnienia **Niezapominajka z nad Warty**.